

## 9.

Minął miesiąc, podczas którego Bejdak wszystkie noce spędził w namiocie, z zachowaniem pewnego procesu adaptacji. Najpierw spał w otwartym namiocie, w mniej szczelnym, niż w na zewnątrz sosnowym barłogu, potem wchodził do śpiwora, robiąc w nim wyściółkę z sosnowych gałązek, by przekonać się w końcu, że śpiwór jest wygodniejszy niż igły. Efektem końcowym było podwiązanie pod sklepieniem namiotu sosnowych gałązek i zamykanie moskitiery. Pomyślał, że jak przyjdą pierwsze tego roku przymrozki, to zamknie namiot na zewnętrzną powłokę. Zrobił to raz na próbę i siedząc w ciepłym suchym miejscu poczuł się trochę jak w domu, żałował, że nie może rozpalić wewnątrz ognia, żeby dać trochę ciepłego światła. Wtedy właśnie, po raz pierwszy od dawna czegoś zapragnął, dobra materialnego. Zamarzyła mu się, widziana kiedyś na targu, naftowa lampa. Dwa duże rzuty poroża powinny wystarczyć na zakup upatrzonej rzeczy. Będzie miał przyjemne światło, mógłby znowu zacząć czytać. Książki

też można kupić na targu. Gdyby kupił ze dwie, mógłby potem wymieniać je na inne. Rozwahał to, nie mogąc zasnąć.

Bejdał czekał na okres zrzucania poroży przez jelenie w przyjemnej ekscytacji. Dawno już na nic nie czekał. Zdarzało mu się zaczekać na otwarcie sklepu, żeby wymienić ryby bądź grzyby na mąkę, chleb czy mydło, zanim do sklepu przyjdzie młódzież, dla której był przedmiotem drwin i kuksańców. Teraz czekał, patrząc na byki obnoszące się po lesie z największym porożem. Wiedział, że one przyjdą, kiedy będzie czas i oddadzą mu to, co mają najcenniejszego, a on przyjmie ich dar, dziękując im z całego swojego serca.

Czekanie podobało się Bejdałowi, zbierając jagody czy grzyby myślał o porożu jakie zdobędzie. Susząc zioła, widział niepozbawione zieloności przez czas rośliny, ale twardniejące na pniu odrostki. Liczył je w myślach, ważył w dłoni, oceniając stan zdrowia właściciela i szanse w jesiennych szrankach.

Był mglisty, ciężki od wody wiszącej w powietrzu, poranek. Większość ptaków już odleciała do cieplejszych krain, a te, co zostały, siedziały na gałęziach z zamkniętymi dziobami, na których skraplała się wilgoć. Słońce było już nad horyzontem, ale jego ognista twarz skryta była za otulającą korony drzew brudnomleczną zawiesziną. Ptaki przekrzywiały łebki, patrząc to jednym to drugim okiem na mleczne łąki, przebijając wzrokiem sunące po ziemi mgły. Bejdał siedział na grubym dębowym

korzeniu, podpierając dłońmi kosmatą głowę, w której włosach lśniły setki maleńkich wodnych kropелеk. Leszy i święty Hubert stali oparci o szeroki pień, na grubym konarze tuż nad nimi siedziała Południca, Wiły i kilka aniołów z ciężkimi od rosy skrzydłami. Na skraju lasu siedziały zające, lisy, borsuki, wilki, normice, kuny i każde stworzenie leśne, głodne mocnych wrażeń. Cała dziedzina zastygła w niemym oczekiwaniu.

Pierwszy ryk przyszedł od strony bagien po drugiej stronie łąki. Przebijał się przez gęstą mgłę pomału, narastająco, aż wybuchł gardłowym donośnym wibratem, od którego, ze lśniących rosą pajęczyn zawieszonych nad łąką, posypały się drobne kropelki, a żółądki zebranych zadrżały z przejęcia. Drugi ryk zawisł nad samą łąką, niczym grom z burzowego nieba, drżał w szarej mgle i błyszczącej rosie przygniatającej do wilgotnej ziemi trawiaste źdźbła. Kolejny, tym razem głośniejszy, bo bliższy drzewu ryk rozdarł gęste opary, ukazując potężną białą pierś byka, o mocnym łbie zwieńczonym rozłożystą, potężną koroną, spomiędzy której przebijały się pierwsze, przydymione jeszcze, słoneczne promienie. To w tych rykach była zawarta cała tajemnica, cały majestat, cały urok rykowiska. To w tych rykach zawarty był najwspanialszy z rozgrywających się w naturze spektakl. To w tych rykach opowiadana była cała historia zmagania jelenich byków. Wszystko to, co nastąpiło później, było już tylko konsekwencją tych ryków, niemym dodatkiem. Rozdzierające wilgoć ziemi uderzenia racic,

wyrzucana w powietrze darń, aż wreszcie odgłos zderzających się potężnych wieńców był tylko echem wibrujących w gęstym powietrzu jelenich ryków. Wibrujący w umysłach obserwatorów paroksyzm uniesienia był kwintesencją rykowiska, jego rdzeniem, pniem fabuły.

Jeszcze zimą wśród pokrytych śniegiem drzew, nad zmrożoną ziemią, gdzieś w upstrzonych szronem trawach dało się słyszeć wibrowanie rykowiska.

Przyleciał pierwszy skowronek, jeszcze gdzieśgdzie w głębokich zapadliskach leżał śnieg, a rankami kałuże pokrywała cieniutka warstewka lodu, a on zawisł w powietrzu tuż nad łąką i pochwyciwszy odtajały z traw, zamrożony zimą, słaby, ale wyczuwalny przez delikatne skrzydła ryk jeleni, pochwycił go swoim dziobkiem, wciągnął w rozgrzane płucka i zaśpiewał na chwałę rykowiska, przypominając jego majestat. Bejdak usłyszał ten śpiew, będąc jeszcze w namiotowym domku i zachwycony jego pięknem zapłakał z radości zimowej atrofii. Wtedy je usłyszał, przedzierały się przez gęstwinę broniącą dostępu do Bejdakowej wyspy. Trzask łamanych gałązek, gardłowe westchnienia, ocierania o pnie drzew. Wyszedł z namiotu i stanął pośrodku polany. One podeszły pełne nieskrywanej dumy pamiętającej wygrane pojedynki i odbierane nagrody. Cztery największe w całej puszczy byki pochylili łby i silnymi potrząsaniem zrzuciły swoje potężne poroża, po czym wycofały się o kilka kroków.